Tom III. Nr. 2.

11. Lipca 1860.

Wychodzi we Lwowie co 10 dni, to jest 1. 11. i 21. każdego miesiąca.

Kosztuje rocznie z przesyłką pocztową 2 złr. w. a., półrocznie 1 złr. w. a.

DZWONEK

PISMO DLA LUDU.

Boga, dzieci, Boga trzeba,
Kto chce syt być swego chleba.

Stłuczony dzbanuszek.

Cudowna historja.

Było to za życia świętego Jana Kantego. A ten święty Jan był księdzem w Krakowie i znali go ubodzy ludkowie, jako że im siła czynił dobrego — miłością serca swego. Owóż powiadają, jakci jednego razu szedł sobie do Łobzowa, co jest wieś niedaleczko od Krakowa. Idzież sobie noga za nogą równą drogą i modli się wedle swego zwyczaju. Aż tu naraz od drogi słyszy jakieś ludzkie szlochanie i srogie narzekanie. Więc się duchem odwróci ku onej stronie i zajrzy właśnie nad drogą dziewczynę ubogą. Przed nią leżą na ziemi czerepy z potłuczonego dzbanuszka, a ona uboga duszka płacząc aże ręce załamała, co się jej taka szkoda stała.

I zawołał na nią święty Jan: — Duszko moja płacząca, z ktąd ty?

Odrzeknie dziewczyna: — A z Łobzowa, mój dobrodziejaszku.

Zagada znowu święty Jan: — I któż tu zawinił, żeć taką szkodę uczynił?

— A któżby jak nie sama — odpowie dziewucha i dalej w płacz nowy i narzekanie: — Oj będęż ja miała od mojej pani, będę, com jej taką szkodę uczyniła, dzbanek z mlekiem rozbiła.

— Cyt dziecko! rozkazał święty Jan — cyt mała! płacz tu zła rada, na nic ci się nie nada ani twoje narzekanie. Tu trzeba prawdę powiedzieć, jak się to stało, a wtedy może i zaradzę temu nieszczęściu twojemu.

Jęła dziewczyna prawić: — A tak było mój złoty, mój wielmożny dobrodziejaszku! Dziś rano gospodyni, mleka mi do dzbanka naczyni i każe: Słuchaj, pójdziesz mi zaraz na Kleparz, i za to mleko co go sprzedaż, nakupisz krupek i soli — słyszysz! — Więc ja na to: — Słyszę! i duchem wybrałam się w drogę. Aż tu mi niebodze po drodze przyszło na myśl, że jutro mamy święto Matki Boskiej, więc by należało do naszego obrazu, narwać świeżych kwiatuszków od razu. Tak-ci tedy myśląca o Matce Boskiej, pozieram dla niej za kwiatkami na wianek i ot, trza było nieszczęścia że przy tej robocie wymknął mi się dzbanek i mleko się wylało — i tak się stało, mój dobrodzieju.

Skończyła dziewczyna opowiadanie i spojrzy po świętym Janie, myśląca sobie: Mój Boże! czy też on mi pomoże.

A święty Jan stał milczący długo przed oną sługą z Łobzowa, a w jasny promień ubrała się jego głowa, jak to widzimy u świętych pańskich na obrazach. Więc ona sługa nieboga, widząc taką jasność nad głową świętego Jana, upadła na kolana i ręce złożyła i niby się do świętego obrazu modliła.

Aż powie święty Jan: — Iżeś była tak szczera dla Boskiej Matki, zbierająca dla niej kwiatki, a toć za to Ona, Królowa wsławiona, uczyni tak przez sługi swego niegodnego, że będziesz pocieszona — duszko moja.

I jako rzekł, tak ci zaraz nachylił się ku ziemi i począł zbierać rękami świętemi potłuczone czerepy dzbanuszka i składać jeden do drugiego, aż-ci się z tego stał dzbanuszek cały jakoby świeżo kupiony i ani znaku dopatrzyć, gdzie był uszkodzony.

I rzeknie święty Jan znowu: — Wstań duszko i przynieś mi wodę w tym dzbanuszku.

Posłuchałaż dziewczynka od razu świętego rozkazu i z po bliskiego zdroju przyniosła w dzbanuszku czystego napoju. A skoro ustawiła przed świętym Janem, on ci jeno krzyż uczynił jeden i drugi i rzeknie do sługi: — Patrzaj, jako naprawiona twoja szkoda! Ażci ona patrzy — a tu nie woda, jeno szczere mleko w dzbanku. Dopieroż to uradowała się nieboga i jęła dziękować, po rękach i nogach całować dobrodzieja swego, świętego Jana Kantego.

A potem już-ci się rozeszli, każdy w inną stronę: święty Jan do Łobzowa a dziewczyna do Krakowa. A w Krakowie na Kleparzu sprzedała mleko wedle rozkazu, krupek, soli nakupiła i do domu wróciła.

Skarzyła się pani w domu: — Ej, ty niedobra sługo, a gdzieżeś się tak bawiła długo?

Odrzeknie dziewczyna: — Stał-ci mi się przypadeczek niebodze, bo mi się zbił dzbaneczek na drodze.

— A widzisz że kłamiesz!

— A nie kłamię, dalipan! może mi zaświadczyć ksiądz Jan, co go znają w Krakowie nasi ubodzy ludkowie. On-ci to mi dzbanuszek naprawił i z wielkiego kłopotu wybawił.

SPIEWKA O FLORJANIE SZARYM.

Szumią lasy, polskie lasy, Krzyżak lasem wali,
Ciężką szablą pobrzękuje, ludzkie sioła pali; —
Zmyka zając podrygając i słuchami strzyże:
Oj, nieboże siedź-że w norze, boć tam Krzyżak lizie.

Szumią lasy, polskie lasy, nasi lasem gonią,
Podzwaniają szabelkami i w podkówki dzwonią;
Leci górą gołąbeczek, prosi pana Boga:
Dajże Boże im zwycięztwo, Panieneczko droga.

Oj, jak zwarło się to bractwo, mój ty mocny Boże!
Wrogi lecą jak brytany puszczone z obroże —
Aż tu nasi jeno krzykną: JEZUS! święte słowo,
I śmignęli aż się onym zrobiło niezdrowo.

Król Łokietek naszych wiedzie, hej wojuje setnie,
Kędy Krzyżak się nawinie, łeb mu duchem zetnie,
A już jak-ci większą siłą zwali się hołota,
To ci człecze tak nasiecze het na przygarść błota.

Tyle brzęku, tyle szczęku, wali człek na człeka,
A ten tego a ten tego w łeb szabliskiem sieka;
Strach na wrogi padnął srogi, jeden, drugi tchórzy,
Aż reszta nogi za pas, zmyka aż się kurzy.

Oj, aż czarno tak-ci leżą na zielonej łące,
Hej, a ze krwi się zrobiły potoki płynące;
Leżą Niemce kute w zbroje, leżą polskie chłopy,
Oj nie żywie, jak po żniwie na ściernisku snopy.

Jedzie sobie król Łokietek między trupy w pole:
Tyle śmierci, mocny Boże! — aż go w serce kole,
Patrzy aż ci jeden leży, brzuch ma rozporany,
Ręką sobie wnętrze wpycha do okropnej rany.

Oj, zasmucił się król wielce, przystanął powoli:
— Hej mój miły! toć ta rana pewno srodze boli? —
— Oj nie bolić ona królu, nie boli tak srodze,
Jak zły sąsiad co się z onym het po sądach wodzę. —

— Jak się zowiesz?

— Zwię się Szary. —

— Weźcież go na mary,

I zanieście do mojego namiotu złotego.
Bądź-że zdrowy mój bojowy, toć się znajdzie rada,
Żeć ta może i uwolnię od złego sąsiada. —

Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbinie starej,
Idzie w goście, choć do króla zdrowy Floryan Szary.
Król przyjmuje, obejmuje, sadowi na ławy,
Każe przynieść flaszę wina i królewskiej strawy.

Razem wina się napili, a król rzecze stary:
— Setnieś rzezał wrogi nasze, mój Florjanie Szary!
Toż ci daję do twej tarczy one koźle rogi,
I trzy włócznie na pamiątkę żeś tak rzezał wrogi.

Znowu wina się napili, w szklanki uderzyli,
A król rzecze: — Jest-ci rada, wolnyś od sąsiada:
Weź-że sobie oną wioskę kędyś we krwi brodził,
A nie będziesz się już więcej ze sąsiadem wodził.

Siedzi sobie sroka, siedzi na wierzbinie starej,
Z królewskiego idzie dworu wesół Florjan Szary; —
A i ja tam w onczas byłem, wino z niemi piłem,
Aż się w gębie nie zmieściło, tyle tego było.

Grześ z Mogiły.

WÓJT MATWIJ Z TATAROWA.

Opowiedział Jaśko Żuczek.

Bywaliście pewnie panowie gazdy z Pokucia i Podola na jarmarkach we *Wielkim Jasieniu i Szygiecie* — sławne tam jarmarki na robocze bydło, na owce i wełnę. Oba te miasta leżą we Węgrzech: *Wielki Jasień* na samej granicy naszej pod *Czarną-górą*, a *Szygiet* o *sześć* mil dalej. — Droga do tych miast węgierskich wiedzie od nas na *Delatyn*, *Dorę* (gdzie, jak powiadają starzy ludzie, przebił się Prut między górami: *Jawornikiem i Chomiakiem* przez skały i dla tego nazywają to miejsce: *Przebojem)* i na *Tatarów*. Z Tatarowa piąć-by się już na Czarną-górę a za nią jużci rzeka *Cissa* i Węgry. Strasznać to i smutna droga dla człeka nienawykłego do gór! same skały i lasy a ciemne, czarne, obrośnięte mchem długim jak dziadowskie brody. Idąc pod górę, zmachasz się nieboże setnie jak przy ciężkiej robocie i nieraz nogi same ustaną — a jak przyjdzie schodzić na dół, to już jak z pieca na łeb i co krok to dusza na ramieniu, tak bardzo tam stromo. A po bokach tej drogi rozpadliny i przepaście głębokie i ciemne jak noc, boć tam rzadko kiedy Boże słonko zawita — i słychać jeno huk strumienia spadającego z wysokich skał. Owóż co za droga wiedzie z Tatarowa do Węgier. Alеć mniejsza o to! na dzisiaj pozostać nam wypada w Tatarowie, kędy zamieszkał wójt Matwij. Bo też dziwną rzecz rozpowiadają o nim ludzie tamtejsi — warto posłuchać.

Mieszkał wójt Matwij na małej polanie nieopodal od rzeki *Prutu*, a mieszkał-ci w najparadniejszej chacie na cały Tatarów. Wedle wójtowej chaty stoją dwa piękne klony, a ponoś ich

sadził jeszcze pradziad Matwija. Podwórze pięknie obgrodzone, w lewo zaś i w prawo ciągną się stajnie na chudobę i na konie, bo jest tego z łaski Boga dużo u wójta — a na połoninie pasie się ze sto pięćdziesiąt sztuk owiec. Jest-ci tam jeszcze obok chaty postawiona komora, niby spichlerz na ziarno; zresztą nie ma już żadnego budynku, bo i na cóżby się to zdało w górach.... zboża tam ludzie nie sieją, bo na kamieniu się nie urodzi. Przecież choć zboża nie sieją, wójt ma chleba podostatkiem. Ba, a z kąd? zapytacie — oto widzicie z tąd: wójt trzyma dużo bydła, koni i owiec, bo pastwisk tam co nie miara. Z nich ma rok rocznie przychowek — tedy między tym przychowkiem a starszą chudobą robi on co roku braki, wypasza one braki na tłustych kawałkach i sprzedaje na jarmarkach w *Szygiecie*, *Jasieniu* lub *Kosowie*. I nie tylko, że ci za to nakupi chleba podostatkiem, ale pozostaje mu jeszcze wielki zysk na zakupienie płótna i obuwia dla siebie i dla swoich i nie bez tego aby i do skrzynki nie schował pięknego grosiwa. A kiedy we Wrześniu wrócą owce z połonin — co myślicie, ile pan wójt weźmie za bryndzę?...

Takie jest gospodarstwo górala: bydło, krępe i rącze konie, owce, mleko, bryndza i wełna. — A że wójt Matwij był człowiekiem prawym i trzeźwym, a przytem żonę miał gospodarną i poczciwą, a nigdy nie puścił od siebie żebraka głodnego — błogosławił mu też Bóg na jego majątku.

Oj! ale miał też wójt Matwij ciężką zgryzotę.

Było to pod wieczór. Słońce już się skryło za góry, a wójt siedział na przyzbie i dumał. A znać że coś nie wesoło dumał, bo mu się czoło pomarszczyło i siwe brwi nad okiem ściągnęły się groźno; — takim go tylko widywano kiedy rozsądzał lub karał jakąś niepoczciwą sprawę w gromadzie. Żona krzątała się wedle wieczerzy, a syna jedynaka nie było w domu, bo poszedł za sianem dla koni.

I ozwał się pan wójt sam do siebie: — Oj! jeśli to prawda że mój Fedko ukradł kosę i pas u Iwana?!... i zacisnął pięść i chwycił się za głowę jakby go tam coś bardzo zabolało. Wójt Matwij miał wielkie poważanie w całej gromadzie, bo był człek prawy, a i na całą okolicę znali go ludzie i bardzo sza-

nowali. Aż tu go wieści dochodzą, że jego syn, jego pociecha jedyna, Fedko... złodziej.

— Chryste Panie! a nie daj, żeby to prawdą było — taka hańba na moje stare lata! oj, oj, a niechże ja tego nie doczekam!... I myśli sobie strapiony ojciec: — Aleć to może jeno złe języki taką plotkę zmyśliły na Fedka, bo i na cóż mu tej kradzieży u licha! przecie Bogu dziękować jest w domu co potrzeba, a on nasz jedynak, toć mu się nie żałuje niczego. — I niby się już pocieszył wójt Matwij, że to nieprawda. — Aż ci znowu zagadał w nim inny głos: Hej, hej, Fedor hulaszcza dusza, za tańcami w ogień by skoczył... a te hulanki, oj nie jednego już pozbawiły zdrowia i cześci! Ależ poczekaj synu, nie puszczę ja cię więcej do karczmy. Fedko polubił Stefanową dziewkę i ona jak-ci miarkuję ma się ku niemu — a toć ożenię biedę, ożenię — ta przestanie hulać.

Tak dumał wójt, kiedy skrzypnęły wrota i nadszedł Fedor niosący sporą wiązkę siana. A był to chłopiec rosły jak sosna i bardzo urodziwy na licu i duże a czarne jak tarki miał oczy — czasem jeno te oczy zerkały jakoś niepoczciwie.

Zajrzał wójt syna i pomyślał sobie: — Trzeba go przecież zapytać, z kąd się wzięło to gadanie ludzkie? — Zawołał: Fedore! a jak dasz koniom siana, przyjdź-no do mnie.

Za małą chwilę sprawił się Fedor i stanął przed ojcem. Długo mu wójt patrzał się w oczy, a potem rzekł: — Chodź-no ze mną. I poszli razem w górę aż ku małej polanie. A kiedy się już tak oddalili, że nikt z ich obejścia nie mógł zasłyszeć, zagadał wójt do syna:

— Słuchaj-no Fedore, a wiesz ty co ludzie gadają o tobie?

— Co ojcze? spytał Fedor ale jakoś nieśmiało, jakby się poczuwał do winy.

— Ta mówią, prawi ojciec, żeś ty ukradł u Iwana kosę nową i pas czerwony, i zastawiłeś w Wielkim Jasieniu za wódkę — prawda to?...

Fedor jakoś strasznie pobladł i oczy het ku ziemi opuścił, a na pytania ojcowskie ledwo nieledwo bąknął: — To nieprawda ojcze.

— Hm, nieprawda, dałby to Bóg! zawołał stary Matwij

smutnie pokiwał siwą brodą. — Synu! a dźwignijże głowę i spojrzyj mi w oczy, skoroś na sumieniu czysty.

Aleć napróżno, nie mógł syn wytrzymać ojcowskiego spojrzenia, spuścił zwrok i milczał. I dopiero przekonał się wójt, jako syn jego był winny. Krew zakipiała mu w piersi od złości i srogiego żalu; chwycił go więc za ramię i krzyknął:

— Złodziej i jeszcze kłamca do tego! przyznaj mi się tu zaraz — słyszysz!...

Chłopiec jak długi upadł ojcu do nóg i wyznał wszystko:

— Już się też nie gniewajcie mój ojcze! tak nareszcie powiada i na duszę się zaklął — pierwszy to i ostatni raz.

Rozbeczał się wójt Matwij jak dziecko nad swojem nieszczęściem, a łzy te padały na głowę klęczącego syna. Oj, gdybyż te łzy ojcowskie obmyły go z grzechu i z hańby! — A napłakawszy się, nagroził pan wójt synowi ostro i sprawiedliwie jak należało na ojca i prawego wójta. Poszedł potem do Iwana z pełną kaletą, zapłacił mu tyle we trójnasób ile wartała kosa i pas czerwony, byle jeno milczał i przebaczył synowi tę płochość jego. — Chwyciły Iwana za serce słowa pana wójta, pocieszył jak mógł i przysiągł milczeć jak grób.

Wróciwszy do dom, kazał sobie Matwij podać na miseczkę najświeższej bryndzy, bochenek białego chleba i flaszkę wódki palonej z miodem i z korzeniami. I rozkazał synowi zabrać to wszystko i poszedł z nim do Stefanowej chaty, choć to już była godzina późna. — Zmiarkował-ci zaraz Fedor, co ma ojciec na myśli: że go chce ze Stefanową Xenią wyswatać — i tak się tem uradował, iż po raz drugi padł ojcu do nóg, a prosił i przepraszał i obiecywał, że tego już nigdy nie będzie.

— Pamiętaj! odpowiedział mu rozczulony ojciec — i poszli ku Stefanowej chacie. U wrót stała Xenia. Zajrzawszy Fedka z ojcem, zaświeciły się oczy dziewczynie. Popatrzyła się na chustkę, w której niósł Fedor chleb, bryndzę i wódkę z miodem — uśmiechnęła się i uciekła. Znać domyślna dziewucha już wie, po co idą. — A kiedy syn z ojcem pomijali wrota, wyszedł przeciw wójtowi sam gospodarz Stefan i powitawszy go w imię Boga, zaprosił do chaty. Co tam ojcowie ze sobą radzili, snadno odgadywali młodzi i czekali niecierpliwie w sieni,

rychło ich zawołają do izby. Jakoż po chwili otworzyły się drzwi i ojciec Stefan przywołał swoją Xenię. Zapytał ją wójt:

— Xenio! a pójdziesz ty za mego Fedora?

Dziewucha pokraśniała niby jabłko czerwone, w dół spuściła oczy a nie rzekła ani słowa. Tedy Stefan jej ojciec: — Dziewczyno, powiada, rusz-że językiem, skoroć pytają: chcesz albo nie chcesz?

A Xenia: — E, albo ja wiem, niech ta ojciec za mnie odpowiedzą.

— No, no — rzeknie Stefan i uśmiechnął się — zawołaj Fedora.

Wszedł tedy Fedor do izby i... krótko mówiąc, odbyły się zaręczyny. Jeszcze się uraczyli ojcowie chlebem, bryndzą i wódką z miodem — poczem Matwij zabrał syna i wracał do domu. Już byli w połowie drogi, kiedy wójt stanął i zawołał na syna:

— Fedore! a toć sam widzisz, jak ci rad jestem. Bóg mi świadkiem, jabym dla ciebie krwi z pod serca nie żałował, boś ty mój jedynak. Ale chłopcze, pamiętaj żebyś mi drugi raz takiej hańby nie uczynił, bo nie podaruję! nogę utnę, jak mi Bóg miły, synu, żeć utnę, niechby się jeno raz jeszcze jakie złodziejstwo wykazało na ciebie.

Od tego czasu minęły już dwa miesiące. Z Fedora stał się cale inny człek, ani do poznania. Za dnia pomagał ojcu przy pracy, a wieczorami zwykle przesiadywał w Stefanowej chacie na miłej pogadance z Xeńką. Stary Stefan cieszył się takim zięciem, a zaś wójt Matwij cieszył się, żeć mu się syn opamiętał. I pomyślał sobie: — Trzeba podziękować Bogu za Jego łaskę, że wysłuchał modlitwy mojej i sprowadził mi syna na dobrą drogę. Ta pójdę do wielebnego księdza proboszcza i dam na mszę na tę intencję.

Niezadługo miało już być wesele Fedora i Xeni — i zdawało się że już żadna czarna godzina nie zakłóci wójtowej doli. — Ale czart, mili gazdowie, nie spi; a kiedy widzi człeka nawracającego się do Boga, to go okrutnie boli i czem więcej radby

się grzesznik poprawić, tem-ci on mu silniejsze stawia pokusy. — Tak też się miało i z Fedorem.

Raz do dnia wybierał się pan wójt do Wielkiego Jasienia, nakupić różnych potrzeb do domu — Fedorowi zaś kazał porobić co potrzeba wedle gospodarstwa, a wieczorem niech sobie idzie do Stefanowej Xeni. Odchodząc dodał: — Zostajesz sam w domu; pamiętajno aby cię czart nie skusił do złego — i przytem tak jakoś groźno a zarazem i boleśnie popatrzył na syna, aże się markotno zrobiło Fedorowi. Stał długo i patrzał za ojcem, a potem wziął kosę i poszedł otawę kosić, aby się przed ojcem wykazać z jakąś robotą, kiedy powróci z miasta.

Może z dwie godzin kosił — aż tu nadszedł jego znajomy parobczak Jurko, wielki niecnota i hulaka. Widząc Fedka koszącego, ozwał się doń:

— Pomagaj Bóg, Fedorze! A co ty, za najmyta stanąłeś u ojca, że tak od rana machasz a machasz? A czy to u was nie ma za co nająć kosarza? A nie wstyd-że tobie bogackiemu synowi tak się biedać jakby najmyt? Coś mi zmarniałeś, ej Fedorze! nie tak jak to dawniej bywało — pamiętasz!

Próżny był Fedor z rodu, a toć go srodze ubodły słowa Jurkowe.

— Ot wziąłem kosę z nudu — odrzeknie — aby się pobawić trochę. W objady przyjdzie najmyt, a ja wrócę do chaty. A kędy tobie droga, Jurko?...

— Kędy mnie droga? odpowie ladaco — co tam pytasz! gdzie ja pójdę, tam ty nie pójdziesz, bo się lękasz ojca, który cię trzyma jak psa na uwięzi. Ej Fedorze! szkoda twoich lat młodych, że marniejesz i nie użyjesz świata.

Na to mu wójtów: — Niech tam każdy pilnuje tego, co lubi, bracie Jurku. A co tam niesiesz pod pachą?

— Coś, czego ty się tknąć nie śmiesz, Fedorze, boć pan ojciec zakazał: wódka nieboże! a jaka? żebyć choć pokosztował. — I dobył z pod pachy sporą flaszczynę i patrząc z pod oka na Fedora, jął kusić:

— Choć na próbę pokosztuj! w ręce twoje. I napił się sam i oblizał się jak po miodzie, a potem Fedkowi podał. Skusiło licho Fedora że przyjął i napił się tej wódki. Już tedy czart

wygrał sprawę; wódka była mocna a toć chłopcu zaraz poszła do głowy i zabałamuciła.

Podochocony Fedko zawołał na Jurka: — Ot czekaj-no trochę, pogadamy sobie — a potem cię odprowadzę.

Usiedli tedy i w gawędę się wdali. A więcej gadał Jurko, a gadał nic dobrego; Fedor zaś słuchał. Napili się też raz, drugi i trzeci, a potem Fedor wstał i niepomny ojcowskiego napomnienia, poszedł z Jurkiem ladaco.

Nad potokiem pod skalistą górą była karczemka. Siedział na niej rudobrody żyd, któremu bardzo niedobrze z oczu patrzyło. Tam Jurko powiódł Fedora. W karczmie zastali dwie, czy trzy mołodyce niepoczciwego żywota, zastali parobków Semena i Ilka ze skrzypkami — obu hultajów całą gębą. Ledwo co się pokazał Fedor, aż tu wszyscy dalej się z niego naśmiewać:

— Fedore, bój się Boga! a co pan ojciec powie, żeś ty w karczmie:

— Hej! krzyknął Fedko na zuchwał — a coby? nic, bo ja się nie boję. Podaj-no wódki żydzie! — I nuże przypijać do wszystkich, a na grajków krzyknął: — Grać panowie grajki a od ucha, żeby nam się dobrze tańczyło — hu, ha!... I porwał pierwszą mołodycę co mu się nawinęła pod rękę i poszedł w taniec. — Oj! był to djabelski taniec. Pili a hulali, pokąd starczyło grosza; a jak go nie stało, wziął Jurko Fedora na stronę i szepnął mu coś do ucha. Po małej chwili znikli oba z karczemki.

Tego samego dnia z południa przepadł u gospodarza Wasyla nowiuteńki kożuch, który gospodyni wyniosła z komory i rozwiesiła na płocie dla przewietrzenia. Krzyk wielki rozległ się po sąsiedztwie — trudno się jednak było domacać: kto i jak?....

Jurko z Fedorem powrócili do karczemki i znowu hulali a pili. —

Wieczorem wracał wójt Matwij z Wielkiego Jasienia, wracał z pełnemi sakwami, ale mu czegoś było bardzo smutno. Idąc wzdychał raz po raz, a sam nie wiedział czego. Przyspieszał kroku, aby się dostać jak najprędzej do domu. Właśnie pokazała się pierwsza gwiazda na niebie, kiedy stanął przed

swoją zagrodą. I przeżegnał się krzyżem świętym, skoro zobaczył że wszystko stoi jak stało. — W domu dowiedział się, że syna nie ma i pomyślał: zapewnie siedzi u Stefanowej Xeni swojej narzeczonej. Poszedł tedy sam obejrzeć brogi, stajnie i całe gospodarstwo, bo pilnym był gospodarzem pan wójt. Aż tu przechodząc koło brogu, obaczy Fedora spiącego w sianie. Nie podobało się to ojcu, że syn położył się spać, zamiast pójść do Stefanowej chaty. Ale jeszcze sobie pomyślał: może on chory — i nachylił się ku niemu, aby posłuchać oddechu. Ano i dowiedział się zaraz co to za choroba u syna, wódkać to, wódka obmierzła buchała od spiącego.

Podumał wójt: — Źle! upił mi się jedynak. I jak-ci miał w ręku palicę, przeciągnął nią Fedora tak, że się duchem obudził i stanął na równe nogi. Zajrzawszy ojca gniewnego przed sobą, ze strachu od razu się wytrzeźwił. Myślał że pan ojciec już wie o wszystkiem i przyszedł go ukarać — a toć drżał jak ryba w saku. Ale niebawem przekonał się, że ojciec nic nie wie, chyba tyle tylko co się upił. A to sobie pomyślał: — Owa, nie taki wielki strach! przecie mię za to nie powieszą, com sobie trochę podpił. — Aż tu słychać głosy i kroki ludzkie na obejściu. Fedkowi zrobiło się jakoś ckliwo na sercu — przy świetle miesiączka poznał Wasyla i jego brata.

Zapytał wójt: A co to?

— Przychodzimy do was, panie wójcie, na skargę — odezwał się Wasyl. Dziś w południe skradziono mi kożuch, co go moja kobieta wywiesiła na płocie. Wielkie mam posądzenie na Jurka hultaja, bo jak mówią, caluteńki dzień pił jeno i hulał w karczmie, a nie wiedzieć z kąd brał pieniędzy. A toć prosimy was pięknie, panie wójcie, abyście go nakazali przytrzymać.

— Bądźcie spokojni, Wasylu — rzeknie wójt — już ja wyszukam złodzieja i odbierzecie swój kożuch.

Pocieszył się Wasyl, bo znał Matwija jako był słowny i sumienny człek. To się już dłużej nie zabawił, jeno się wraz z bratem pokłonili wójtowi i odeszli. — A kiedy już sami zostali ojciec ze synem i nie było żywej duszy do koła, zwrócił się nagle Matwij do syna i huknął wielkim głosem:

— Ty łotrze, ty hańbo moja! I zaiskrzyły mu się oczy srogim gniewem, pochwycił Fedora za barki, zatrząsł nim jak snopkiem i krzyknął: — Tyś skradł kożuch Wasylowi — ty hultaju!

Fedor milczał, blady był jak trup i omal nie zemdlał ze strachu, bo już miarkował co go czeka. — Strasznyć był gniew wójta, na chwilę mu nawet mowę odjęło; dopiero po niejakim czasie ozwał się znowu, ale już spokojniejszym głosem:

— Słuchaj Fedore! Bóg ci dał urodę i siłę, dał ci spryt i przemyślność do gospodarki i do innej pracy. Słuchaj-że dalej! tenże Bóg dobry dał ci rodziców uczciwych i zamożnych, którzy ci nigdy nie pożałowali niczego na poczciwą rzecz i na przyzwoitą zabawę. Wiesz, że naszego majątku ani ja, ani twoja matka ze sobą nie zabierzemy — wszystko to będzie kiedyś twoje. I patrzaj, jakie ty odebrałeś dary z rąk Boga! Toć jeno Mu dziękować rano i wieczór za Jego łaskę, a pracować poczciwie, a strzedz cześci jak oka w głowie.

— Ale, powiada dalej pan wójt — szatan ciebie opętał i nawodzi do złego: więc do pijatyki, do hulanki, do kradzieży a ztąd już prosta droga do kryminału!.... I rozpłakał się z wielkiej żałości pan wójt jak małe dziecko, a syn drżał jak listek od wstydu i trwogi.

— Pamiętasz! począł znowu ojciec do grzesznego syna — pamiętasz ty jakem ci groził powracający od Stefanowej Xeni, po zaręczynach? że nogę utnę — synu! oj toż to ci się było szanować. Ha, nie pomogło i to, i płacz ojcowski i moje upomnienia, wszystko na nic! A to już widzę nie ma innej rady — ja ci w kryminale gnić nie dam, bo wolałbym cię zabić i sam zginąć, niż takiej hańby doczekać.

Zmiarkował Fedor, co go czeka; chciał uciec, ale Matwij przytrzymał go silną ręką za barki, rzucił na ziemię, pochwycił za topor leżący tuż na klocu, ciął — i odciął Fedorowi nogę. Wszystko to stało się tak prędko, że Fedor nie miał nawet czasu zawołać na gwałt — raz jeno jęknął i omdlał z wielkiego bolu.

Krzyknął potem pan wójt na żonę, a gdy ta wybiegła, powiedział jej za co Fedorowi nogę obciął. Rozpłakali się oboje

nad nieszczęściem jedynaka, otrzyźwili, obmyli krew, sprowadzili do leczenia babę, ba nawet lekarza z pobliskiego miasta i leczyli nieboraka jak najtroskliwiej. Sam Matwij nie odstępował od jego łóżka, a kiedy Fedor spał, to się stary modlił aby ta kara surowa na dobre wyszła synowi — a modlił się gorąco ze łzami. Przychodziła zczęsta i Xenia Stefanowa czuwać przy chorym, a od płaczu to aż oczy miała czerwone, tak ją to nieszczęście Fedora bolało.

Po sześciu niedzielach przyszedł Fedor do zdrowia. I jakże myślicie ludzie: powrawił się, czy nie? — A poprawił i bardzo poprawił! — Już trzeci rok mija jak się ożenił z Xenią Stefanową, a stał-ci się on najpracowitszym, najporządniejszym gospodarzem, mężem i ojcem i jest prawdziwą pociechą starego wójta. Ukorzył się Bogu, wycierpiał a Bóg go dobrotliwy oświecił.

Ale może-byście radzi wiedzieć na koniec, co się stało ze złym duchem Fedora, z onym Jurkiem hultajem?... Otoż wam powiem, że ukradłszy raz płachtę czy coś innego, uciekał, potknął się i kark złamał.

Wiejska doktorka,

czyli:

jako niebezpieczno jest słuchać ladajakiej baby, co się za doktorkę udaje.

Szczepanowa i Magda.

Szczepanowa. I dawno ci tak na to oko, Magda?...

Magda. Od samej Wielkiejnocy, moiściewy!

Szczepanowa. No, widzisz! Taka dziewka i tak jej się stało! pokaż-że, pokaż!... Skałka nie co!... Oj to najgorsze! bo jak się komu zrobi, to mu oślepnąć.

Magda. Oj mój Boże! cóż ja teraz pocznę sierota!

Szczepanowa. Nie frasuj się nie, Magda, bo ja ci doradzę. Oto uproś się gospodyni, żeby ci pozwoliła iść na trzecią wieś, to tam jest baba, co albo igłą zdejmuje delikatnie skałkę z oka, albo zasypuje, to zaraz zginie.

Magda. Oj! Bóg wam zapłać, moja Szczepanowa! zaraz pójdę!

Magda u doktorki.

Doktorka. Siądźże sobie, siądź dziewucho, jeno utrę w skorupie tego proszku, to ci zadmuchnę, a zaraz ci skałkę wygryzie. — Oj mój Boże! taka młoda dziewka i byłoby się niepotrzebnie sterało! A przyniosłaś pięć czeskich? bo to proszek drogi co nie w ladajakiej aptece go dostanie.

Magda. Jabym wam i sześć czeskich nie tylko pięć dała, byleście mi pomogli, cobym na oko patrzyła.

Doktorka. Oj! uwidzisz moje dziecko, uwidzisz, boś ty ani jest pierwsza, ani też ostatnia. Tylko pójdę po bez, co dudkę do wdmuchania zrobię i zaraz tu przyjdę.

Magda. A nie będzie mnie bardzo boleć?

Doktorka. Poszczypie cię tam troszkę i ustanie. — A teraz siedź co ci zadmuchnę...

Magda (po zadmuchnięciu oka). O, mój Jezu kochany! jak też-to żre! — ani wycierpieć!... Gwałtu, ledwo się gdzie nie zapodzieję! Oh zmiłujcie się kobieto!

Doktorka. Nic się nie bój, bo to skałka żre a nie oko... Jużci musi wygryść do imienia, a skałka twarda jak kamień nieprzymierzając. — Dajże teraz pięć czeskich i idź do domu, a jakby ci nie wygryzło do znaku, to ci jeszcze zadmuchnę.

Magda w dziesięć dni potem z matką we dworze.

Matka. I jakoś jej wyciekło oko do imienia, że się jej aż zalękło. A nie wiemy coby na to robić?

Pani Dziedziczka. A cóż robić, moja kobieto! Niema co robić, tylko ofiarować Panu Bogu, bo już jej to oko nie odrośnie.

Matka. Daję temu wiarę, bo gdzieby miało odrosnąć! ale żeby jej na to pomódz?

Pani D. Już za późno, lecz powiedźcie mi, jak mogła ta niegodziwa kobieta tak waszej córce oko zepsuć?

Matka. Albo ja wiem, wielmożna Pani!.... Może od tego hałunu co nim oko zasypowała.

Pani D. Jakto hałunu? Czyliżby jej hałunem miała zasypywać?

Magda. A jużcić wielmożna Pani nie czem, tylko hałunem.

Pani D. Ah, to zbrodnia! Teraz rozumiem dla czego oko wyciekło.

Magda. Mówiła mi że tylko skałkę wygryzie i ja sobie dała około siebie robić.

Pani D. Oh! biedna dziewczyna, ileż się musiała nacierpieć?

Magda. O to tam nic, tylko gorzej, że się ze mnie śmieją, że oka jednego nie mam.

Matka (tłómacząc). Bo to widzi wielmożna Pani, iż jej o to chodzi, że ją żaden chłop nie będzie teraz chciał.

Magda. Gdzie tam o to! tylko że nie ładnie tak bez oka.

Pani D. No, moje dziecko, ofiaruj to upokorzenie Panu Bogu, a jeżeli chcesz, to cię od nowego roku i bez oka do dworu przyjmę. — Czy masz ochotę?... Może się tu przy dworze prędzej za mąż wydasz!

Magda. Oj, mam ochotę, wielmożna Pani!

(*Z kalendarzyka W. W.*)

RÓŻNOŚCI.

Oberwanie chmury. Zeszłego miesiąca oberwała się chmura i zarazem wielki grad nawiedził okolicę *Borszczowa* w obwodzie Czortkowskim. Z gwałtownej ulewy powstała sroga powódź w dolinach — woda zabrała kilka chat, pozrywała mosty i uszkodziła w *Skale* młyn. Co gorsza, że przy tej okazji zginęło w powodzie troje dzieci włościańskich z Borszczowy; jeden chłopiec dziewięcioletni i dwie dziewcząt o kilka lat starszych. Grad zaś wielkie poczynił szkody w oziminie.

Piorun. W wilię świętego Jana w Otynowicach pracowali ludzie przy sianie. A spieszyli się, bo już od rana przepadał deszczek nie wielki. Zasiedli wreszcie na południe pod stertą i spoczywali — aż tu naraz zagrzmiało i piorun uderzył w stertę. Jednę kobietę poraził w samo ciemię, tek że na miejscu została. Dwóch zaś nieopodal siedzących chłopców poraził: jednego w nogę i krzyże, a drugiego jeno w nogę. Sterta się spaliła do gruntu. Biednych chłopców zanieśli do domu i ponoć się już lepiej mają, bo ratunek był wczesny. Kobieta już była nieżywa.

We wsi *Uzinie* spalił piorun dwie chaty gospodarskie z wszystkiemi budynkami, a w *Ostrowie* zabił na pastwisku dwa woły i całe stado gęsi.

Pożar. W *Majniczu* w obwodzie Samborskim zajęła się szopa jednego włościanina, i jak się zdaje, że ktoś ogień podłożył. Z onej szopy przerzucił się ogień na inne domy. Pogorzało czterech gospodarzy, a jak policzono szkodę, to razem wyniosło na 2.010 reńskich. Jak na te ciężkie czasy, to wielka suma!

Redaktor: **B. Bielawski.** Odpowiedzialny wydawca: **E. Winiarz.**